Tom IX. Nr. 3.

21. Lipca 1863.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Bitwa grunwaldzka.

Było to tamtej niedzieli jeszcze, kiedy ludziska zeszli się na nieszpory do kościółka w Kołobodni. Kościółek to piękny i bardzo czysto a porządnie utrzymywany, ma także różne malowania piękne w ołtarzach i po ścianach. Zaś na jednej ścianie ma takie malowanie: stoi król jakiś dziwnie piękny i wspaniały, a około niego jakby panowie i rycerze jacyś znaczni; zaś insi rycerze składają przed królem moc okrutną chorągwi różnych, a dalej wojska znowu, i mnóstwo zabitych widać na polu. Także widać, iż to obraz bardzo stary, i niedawno małoco znać go było. Dopiero teraz xiądz proboszcz sprowadził malarza, a ten obraz odnowił, iż jest jakby całkiem nowy i piękny. Otóż w niedzielę widzieli go ludzie pierwszy raz odnowiony, i już z okrótną ciekawością wszyscy się przypatrywali.

Po nieszporach wyszedł xiądz proboszcz z zakrystyi, a widząc, iż ludzie ciągle jeszcze oglądają obraz, powie im:

— Cóż moi mili, podobało wam się to malowanie?

— A jużci że podobało, prosimy jegomości — odpowie-

dzą — jedno nie wiemy co to za historya, a widno jakaś święta historya, kiedy jest w kościele.

— Nie zgadliście całkiem moi mili — powie xiądz proboszcz — to jest historya o polskim królu Władysławie Jagielle, a dla tego wisi w kościele naszym ten obraz, iż król ten był wielkim dobrodziejem naszego kościoła, i sam fundował go, więc na tę pamiątkę jest tutaj jego malowanie.

— A to chyba ten król Jagiełło, co się dał ochrzcić, bo pierwej był poganinem, i co się ożenił z polską królową Jadwigą — zawołał mały Jacuś Kozuba, który był najpilniejszym studentem w szkole kołobodnieckiej, i czytałci lepiej każde drukowanie jak sam organista, a historyę polską umiał doskonale na pamięć.

— Jużci ten sam — rzeknie xiądz proboszcz — co to potem oswobodził Polskę od Krzyżaków, kiedy ich pobił dobrze pod Grunwaldem i Tanenbergiem.

— Zaś proszę jegomości — powie któryś z gromady — co to za chorągwie i co one znaczą na tem malowaniu?

— Kiedyście ciekawi — rzeknie xiądz proboszcz — to już wam całą historyę opowiem, abyście też wiedzieli coś o zacnym królu i fundatorze tego kościoła.

Otóż widzicie Jagiełło był najpierw xiążęciem litewskim a także poganin był z początku. Dopiero jak nastała w Polsce królowa Jadwiga, bardzo zacna i świątobliwa niewiasta, więc Jagiełło chciał się z nią koniecznie ożenić. Zaś Jadwiga powiedziała mu, iż prędzej nie pójdzie za niego, aż się da ochrzcić na wiarę świętą i aż cały naród litewski nawróci od pogaństwa. Jagiełło uczynił tak, ochrzcił się na imię Władysław, nawrócił także cały naród litewski, został królem polskim i był od tego czasu taki gorliwy chrześcijanin jak rzadko. Pobudował i ufundował on też nie mało kościołów jak nasz, i wiódł cały żywot bardzo świątobliwie.

— A to pewnikiem dla tego wymalowano koło niego różne chorągwie kościelne — powie Wojtek Cieciura, bardzo ciekawy i zmyślny parobek.

— Nie mój kochany — odrzeknie xiądz proboszcz — te

chorągwie wedle inszej sprawy są tutaj namalowane, ale czekajcie cierpliwie, to wam wszystko opowiem.

Otóż jak król Władysław Jagiełło zaczął rządzić w Polsce, miał wiele turbacyi i kłopotu z Krzyżakami. Byli to rycerze niemieccy, którzy niby za świętą wiarę walczyli i pogan nawracali, ale iż Polacy byli lepszymi chrześcijanami jak oni, więc wojowali ich zawsze Krzyżacy jeno wedle rabunku a nic więcej. Otóż była z tymi Krzyżakami ciężka bieda, a już największa za króla Jagiełły, bo naówczas chcieli Krzyżacy zawojować całkiem Polskę, zrabować, zniszczyć i naród polski zgubić na zawsze. Gotowali się więc na okrótną wojnę, a Polacy gotowali się także, bo jużci każden bronić się musi a nawet powinien, kiedy go źli ludzie napastują. Naostatek zaczęła się wojna.

Jest w ziemi pruskiej wieś Grunwald i druga wnet koło niej Tanenberg. Tam się zeszły wojska. Polskiem wojskiem dowodził król Jagiełło, a miał nie tylko Polaków, ale także Litwinów, Rusinów, Czechów i inszych pod sobą bardzo wiele. Zaś Krzyżaków była także moc okrótna i przyszło im na pomoc mnóstwo Niemców różnych, a wszystko to okrótni rycerze, całkiem w żelazne zbroje poubierani, i chłopy jakby dęby wielkie same.

Zaczną się więc bić oba wojska. Bili się też caluteńki dzień aż do późnej nocy. Różnie się już zdawało, nieraz prawie Niemcy zwyciężyli, a na ostatek pobił ich przecie król Jagiełło do kapki. Zaś król ten dzielny mało sam życia nie stracił. Stał sobie na boku z kilku ludźmi i komenderuje bitwą. Aż tu jakiś rycerz niemiecki nadbiega, i dalej do króla z długą piką. Król waleczny nie zląkł się ale odbił jego napaść, w tem młody jeden sługa królewski podjedzie do owego Niemca, i jakci go płatnie w bok, tak niemczysko nieżywy upadł z konia. Zaś ów sługa królewski został potem xiędzem, i był bardzo sławnym i znacznym biskupem krakowskim, a zwał się Zbigniew Oleśnicki.

— A toć ja, proszę jegomości widziałem na Wawelu w Krakowie jego obraz w kościele — powie Stach Żurba, człek bywały po świecie.

— Pewnie że on tam jest na pamiątkę — odrzekł xiądz proboszcz — bo to także wielki dobrodziej kościołów różnych a najbardziej krakowskich. Ale teraz wam jeszcze dopowiem koniec historyi o onej bitwie.

Otóż jak wam już mówiłem, pobił w ostatku król Jagiełło zupełnie Krzyżaków. Ogromna moc Niemców zginęła. Sam najstarszy Krzyżak, który się zwał mistrz wielki, zginął także i insza starszyzna wyginęła. Zaś do niewoli wzięli Polacy aż czterdzieści tysięcy Krzyżaków. Także wzięli im 51 chorągwi, które złożyli królowi Jagielle w podarunku. I otóż macie właśnie namalowano, jak Polacy oddają królowi krzyżackie chorągwie.

Widzicie takie to wielkie zwycięztwo dał pan Bóg Polakom. Od tego czasu nie było już biedy od Krzyżaków, bo w bitwie grunwaldzkiej prawie całkiem wyginęli. I od tego czasu nie napastowali już więcej Polaków, a nawet oddali im kraje różne, które dawniej zabrali.

Zaś moi mili cała ta sprawa działa się bardzo dawno, bo temu już lat cztery setki i piędziesiąt trzy. I była owa bitwa w sam dzień 15 lipca, jak będzie teraz za kilka dni. Więc kazałem ja naumyślnie odnowić ten obraz, abyście nauczyli się historyi fundatora naszego kościoła, i abyście w rocznicę jego zwycięztwa przypomnieli sobie, co ten król dobrego uczynił dla całego kraju. Więc najpierw się ochrzcił i nawrócił do wiary świętej cały kraj litewski, który od tego czasu na zawsze połączył się z Polską, a potem iż obronił kraj polski od Krzyżaków.

Bajki.

1. *Nie kradnij.*

Czy to z biedy, czy z rozkoszy
Chciał Piotr lekko nabyć groszy,
Ukradł szkapę sąsiadowi,
Myśląc że się nikt nie dowie.
Lecz jak zwykle źle wykryto,
I Piotrowi skórę zbito.
Piotr się potem ustatkował,
Więcej nie kradł lecz pracował;
Jednakowoż gdy co zginie,
Podejrzenie go nie minie.
Takto gdy człek raz pobłądzi,
Każden źle już o nim sądzi;
Miejcież więc naukę z niego,
Jak unikać trzeba złego.

2. Płocha dziewczyna.

Matka córunię łajała,
Że za chłopcami biegała,
Ta sobie myśli w skrytości:
Matuś mi chłopców zazdrości.
Nie słuchała ciągle płocha,
Myśli że ją każden kocha.

Chłopcy tańczą, złe z nią broją,
Lecz za żonę wziąć się boją.
Lata młode przehulała,
Starą panną też została,
Zaś ci, którzy z nią hulali,
Potem z niej się naśmiewali.

T. O.

Halerewiczowa
pokutnica.

I.

W obwodzie czortkowskim opodal Zaleszczyk leży nad Dniestrem wieś Łuki. W tej to wsi żył sobie ubogi kmieć Gaweł Halerewicz. Jeszcze przed rokiem obumarła go żona, i zostawiła mu sześcioletnią sierotkę, ładną dziewczynkę Marynkę.

Gaweł jak był z jednej strony ubogim, tak znowu był także wielkim niezdarą: często gęsto lubił zaglądać do kieliszka, zaniedbywał gospodarstwo a przytem bardzo mało troszczył się o swoją córkę; toć wielkie pustki były w chacie Gawłowej; aż straszno było wejść do wnętrza — cztery gołe ściany, na pół rozwalony piec, trochę w kącie słomy — i oto wszystko w chacie! A nie lepiej było także koło chaty: kilka drzewek na pół uschniętych, maleńki chlewek, wychudła krówka przywiązana pod gruszą, stary pies, i oto znowu całe gospodarstwo.

To też wielka była nędza koło Gawła, a biedna Marynka dawno już może byłaby z głodu umarła, gdyby nie stara Marfa, która ją za własną uważała córkę.

Z dnia na dzień rozpijał się Gaweł więcej i już po całych dniach przesiadywał w karczmie, do tego zadłużał się czem raz więcej u arendarza, tak, że nie wiele czasu upłynęło, kiedy całe Gawłowe mienie było już w kieszeni żyda.

Razu jednego siedział sobie Gaweł dobrze podpity w kar-

czmie za stołem — żyd dolewał ciągle kieliszki, a Gaweł ledwo już językiem obracał w gębie; raptem otworzyły się drzwi i wszedł sąsiad Gawła Maciej, bardzo porządny i w całem siole zaufany człowiek.

— A Gawle — zawołał na wstępie Maciej — wiedziałem gdzie cię szukać.

— A... dobrze... bełkotał Gaweł.

— Mam do ciebie potrzebę.

— Co?... niech djabli.. i urwał, bo mówić dalej nie mógł tak się zapił wódczyskiem.

Widząc to Maciej mocno się zafrasował, iż Gaweł na taką zeszedł już drogę, przeto jął mu dogadywać.

— Czyż to się godzi — mówił Maciej — mój Gawle pić tak zapamiętale, a zapominać o Bogu i o powinnościach.

— Do stu djabłów — krzyknął Gaweł i począł bić o stół pięściami, że aż szklanki poczęły dzwonić. Maciej nie zraził się tem wcale, jeno jak należało dogadywał Gawłowi dalej, nieszczędząc ostrych słówek, gdy raptem zerwawszy się Gaweł z za stołu, porywa w szale ławkę i wali nią z całej siły Macieja przez głowę. Maciej oblany krwią padł bez zmysłów na ziemię, a w kilka dni potem zakończył życie, Gawła zaś okutego w łańcuchy odesłano do Lwowa.

Tymczasem żyd zabrał za długi chatę, pole i krówkę, a biedną Marynkę na cztery napędził wiatry. Szczęściem zabrała ją Marfa do siebie i była jej teraz ojcem i matką zarazem, a biedne dziewczę przez czas długi nie mogło się otulić w płaczu po ojcu.

Dziesięć lat już minęło od owego czasu, a Gawła jak nie było tak nie było; ludzie mieli go już za straconego i po części zapomnieli o nim, a Marynka przez czas ten w piękną urosła już dziewczynę.

Raz w niedzielę pojawił się w siole wieczorem jakiś dziad stary. Nikt go tu nie znał i on też do nikogo się nie przyznawał, jeno prosto poszedł do Marfy i długo tam siedział rozpytując się Marfę i Marynkę o wszystko, nawet o Gawła i jego sierotę; a kiedy Marfa rozpowiedziała mu całą historyę i wska-

zała na ładną Marynkę iż to jest córka Gawłowa, dziad błogosławił dziewczynę i ze łzami przyciskał ją do piersi.

— Zaś dziadusiu, pytała Marynka — czy wy znali mego ojca?

— Nie, moje dziecię — odpowiedział starzec — jeno ze słyszenia wiem o nim.

— Zdaje mi się — odezwała się Marfa — jakby przez sen, że ja was z kądsić znam.

— Nie, dobra kobieto — ja z stron dalekich i pierwszy raz tu przyszedłem.

I długo jeszcze rozmawiali ze sobą, a w końcu podziękował dziadowina Marfie za strawę i dobre przyjęcie i wyszedł z chaty, lubo Marfa mocno nalegała, żeby u niej zanocował. Wyszedłszy ztąd prostą drogą udał się w miejsce, gdzie dawniej stała Gawłowa chata. Dużo też zmieniło się tutaj; żyd nabywszy chatę, najmywał ją przez długi czas komornikom, później zaś, kiedy zestarzała chałupina poczęła się czem raz więcej chylić ku ziemi, zwalił ją, co lepsze drzewo sprzedał, a zgniłe kawałki i rumowisko wywiózł pod starą gruszę, która stała wedle chaty, a miejsce zaś, gdzie dawniej była chałupina, zaorał. To też dziad, kiedy tu przyszedł i takie zniszczenie zobaczył, załamał ręce, zalał się łzami a westchnąwszy ciężko do Boga, padł na rumowisko i oddał Bogu ducha.

A nie był też to kto inny, jeno sam Gaweł!

Nazajutrz, kiedy wieść o tem rozeszła się po siole, dużo zeszło się ludzi na miejsce gdzie trup leżał, a trzeciego dnia zrobiono pogrzeb; za trumienką szła zapłakana Marynka z rozpuszczonemi włosami.

II.

Od śmierci Gawła spory już kawał przeminął czasu — Marynka była dziewczyną, jak to mówią w kwiecie wieku, aże piękna była jak róża w ogródku, to też nie jeden zalecał się do niej chłopak. Pomiędzy wszystkimi pierwsze miejsce miał syn wójta Kostek, tęgi i pracowity parobek, i on pomiędzy wszystkimi najbardziej się na to ważył, ażeby pojąć Marynkę

za żonę, bo też mu się serdecznie spodobała. Ale Marynka nie chciała nawet słyszeć o Kostku, bo głowę jej zawrócił niecnota Sobuś.

Stara Marfa bardzo się tem martwiła i nie raz godzinami prawiła jej o Kostusiu, ale Marynka trwała zawsze przy swojem mówiąc:

— Ja za Kostka w żaden sposób nie pójdę.

— Ależ dziewczyno — mówiła Marfa ze łzami — przez rany Chrystusa opamiętaj się i pomyśl co mówisz, ażebyś potem tego nie żałowała, Kostek porządny i zamożny chłopak, to szczęście cię za nim czeka.

— Wolę sobie kamień młyński przywiązać do szyi i skoczyć do Dniestru, aniżeli pójść za Kostka.

— Co też ty mówisz! Opamiętaj się! Ja wiem, niezdara Sobuś zawrócił tobie głowę — dziewczyno, dziewczyno pomyśl dobrze, co czynisz, bo możesz potem żałować, kiedy już będzie za poźno.

Ale wszystko było na darmo; Marynka trwała dalej przy swojem i ani patrzała na Kostka, co też Kostek widząc, poprzestał do niej chodzić.

Nie minęło pół roku, a Marfa stara leżała na katafalku. Marynka z wielkim żalem odprowadziła zwłoki swej drugiej matki na cmentarz, a teraz w 19 roku została sama jedna na tym Bożym świecie!

Po śmierci Marfy częściej chadzał Sobuś do Marynki i godzinami przesiadywali razem w chacie, a ludzie poczęli źle mówić o sierocie dla tego, że się wdaje z niecnotliwym Sobusiem.

Sobuś był sobie wielkim niezdarą: do roboty ani rusz, a kiedy był już zmuszony pracować, to jeno ziewał przez czas cały, a w końcu zjadłszy za trzech zrobił daleko mniej, aniżeli małe dziecię. Ale zato zalotnik jakich mało! dzień i noc umizgałby się i kochał. Toć znali go wszyscy w Łukach bardzo dobrze, a znali go jeszcze i ze złego serca, które nigdy litować się nie umie nad biedą.

To też rok nie minął, a niecnota Sobuś przywiódł Marynkę do nieszczęścia.

Biedna Marynka chciała sobie z razu odebrać życie ze

wstydu, i mocno i gorzko nad swoją biedą płakała, ale bezwstydny Sobuś jak począł jej dogadywać i tłumaczyć, że w tem nic złego niema, że choć ludzie na nią gadają, nie powinna nic sobie z tego robić, aż wreszcie obałamucona dziewczyna nie tylko że mu uwierzyła, ale od teraz jawnie poczęła z nim siedzieć na wiarę.

Mijały dnie, miesiące, a wreszcie i lata, a Marynka popełniwszy raz grzech, brnęła jeszcze dalej, siedząc ciągle ze Sobusiem. Z razu nalegała ona na Sobusia, ażeby z nią wziął ślub w kościele, ale Sobuś wymawiał się ciągle to tem, to owem i ciągle zwlekał z dnia na dzień, aż w końcu dała sobie Marynka spokój z naleganiem i nie dopominała się więcej.

Sobuś przez cały czas nie poprawił się wcale, jeno większym coraz stawał się niezdarą i ciągle tracił jeno dobytek nieboszczki Marfy, który ona zapisała Marynce. Właśnie kończył się teraz rok siódmy ich pożycia, a Sobek tak się zwinął, że już wszystko przetracił.

Razu jednego przyszedł on do domu trochę podpity, Marynka chciała z nim coś mówić, ale on jeno się ofuknął, i tak się do niej odezwał:

— Dziś rozłączymy się już ze sobą — zabierz twoje manatki i idź do sto djabłów, gdzie cię oczy zaniosą, bo ta chata już nie twoja, a rychło sprowadzi się do niej właściciel.

Marynka myślała z razu, że to żart i poczęła o czemś innem mówić, ale Sobuś począł krzyczeć:

— Czyś nie słyszała, zabieraj się — ja ciebie już więcej nie potrzebuję — idź sobie do sto djabłów!

Ależ Sobusiu — mówiła przelękniona Marynka — miej litość nademną, toć ja ci wszystko oddała, straciłam niewinność i młodość a tybyś mnie teraz chciał wyganiać.

— Czyś nie słyszała com mówił — zabieraj się, bo cię jeszcze obłatam kijem na drogę.

— Dla Boga Sobusiu — prosiła płacząc Marynka — ulituj się nademną, cóż ja na świecie sama pocznę.

— Będziesz ty mi tu jeszcze zawodzić! — krzyknął Sobuś — i nie wiele myśląc, zebrał Marynkę raz przez plecy laską — ona poczęła na głos zawodzić, zebrała swoje manatki

i złorzecząc Sobusiowi wyszła biedaczka z chaty w świat, a Sobuś krzyczał za odchodzącą:

— Na cztery wiatry!

A sam zaś zabrał się także i odszedł gdzieś daleko.

III.

Płakałaż teraz Marynka na swój głupi rozum, a słowa nieboszczki Marfy stanęły jej żywo przed oczy, bo nie mając ni chaty, ni kawałek chleba, straciwszy do tego młodość swoją, ujrzała się pośród ludzi największą okryta hańbą. Teraz doznawszy tego wszystkiego powinna była Marynka wejść na całkiem inną drogę, ale jak gdyby na zgubę swoją przyjęła służbę u żyda arendarza, w tej samej karczmie, gdzie takie nieszczęście spotkało jej ojca. Dla tego też służąc w karczmie nie weszła wcale na drogę poprawy, ale owszem dolewała przez to do ognia oliwy, a do dawnych grzechów nowe, bo gdzież tyle sposobności do złego, jak tutaj. To też wkrótce pokazało się, że na dobre nie wyszła Marynce ta służba; kiedy bowiem odzywało jej się sumienie, w kieliszku szukała pociechy, a kieliszek był tak blizki! Z początku przytrafiało to się rzadko, ale poźniej jakoś częściej poczynała się smucić i częściej też szukała sobie ulgi w wódce, w końcu zaś do tego stopnia doszło, że żyd ją sam ze służby napędził.

Nie minęło dużo czasu, a Marynka stała się najobrzydliwszą pijaczką w całej okolicy. Karczma była jej teraz kościołem i chatą, bo nigdy z niej nie wyłaziła, a w pół naga, z czerwonym jak burak nosem, z podbitemi oczami włóczyła się z jednej karczmy do drugiej. Aż litość brała człowieka spojrzeć na nią, a ludzie wytykali ją palcami, lecz ona nic sobie z tego nie robiła, jeno dalej brnęła w błoto.

Razu pewnego zdarzyło się, że włócząc się z karczmy do karczmy, zaszła aż do Chryszczatyka, gdzie się znajduje cudowny obraz św. Jana w kościele i gdzie rok rocznie odbywają się wielkie odpusty. Miejsce to słynie na całą okolicę, toć ludzie o mil kilka w koło ściągają się tutaj na odpust. A właśnie dziś był dzień odpustu; ludzi naszło tak dużo, że kościół

nie mógł pomieścić do wnętrza i czwartą część. W Chryszczatyku samym ani jednej duszy nie znajdziesz po chatach, kto jeno żyw, poszedł na odpust, bo jakżeż to siedzieć w domu, kiedy się taka odprawia uroczystość na chwałę Bożą.

Xiądz właśnie co tylko podniósł był Przenajświętszy Sakrament, a cały tłum pobożnych katolików z wielkiem nabożeństwem padł na kolana, kiedy Marynka weszła do sioła, pijana, obszarpana spiewając jakąś obrzydliwą piosnkę, i prosto poszła do karczmy. W karczmie było próżniuteńko, jeno żyd obliczał sobie kredą na stole sprzedaną wódkę podczas całego tygodnia.

— Żydzie wódki na stół! krzyczała ona ledwo co tylko za sobą drzwi zamknąwszy.

— Czy już się *skińczył widpust?* — pytał żyd myśląc, że z kościoła powraca.

— Co mnie odpusty obchodzą — nie rozpytuj dużo, jeno daj prędzej wódki.

Żyd podał pół kwaterek, lecz Marynka wypiwszy go duszkiem, wołała znowu:

— Daj wódki!

Już dawno popowracali ludzie z kościoła do domu, a Marynka jak pije tak pije, ba dalej już poczęło zmierzchać się, a pijatyce jeszcze niema końca; już językiem ledwo co rusza a leje w siebie ciągle obrzydliwe wódczysko, i Bóg wie jak długoby jeszcze piła, gdyby żyd tylko chciał więcej dawać.

— Wódki!... wrzeszczała zachrypnięta.

— Nu... ja więcej dawać nie będę — mówił żyd — *jakiego* dasz mi *poręków*, że borg zapłacisz.

— Bestyo!... psiawiaro!... wódki daj!...

— A ty pijaczko, będziesz jeszcze przezywać. I długo nie czekał żydzisko, jeno ująwszy ją za kołnierz, wypchnął za drzwi na dwór. Marynka zataczała się to w jedną to w drugą stronę, a nie mogąc wlec dalej nóg za sobą, powaliła się wreszcie na śmiecisku żydowskiem pod płotem wedle karczmy i usnęła.

A dziwne śniły jej się tutaj rzeczy.

Najprzód śniło jej się, że była jeszcze młodą, szczęśliwą

dziewczyną u starej Marfy; i niby trzyma w ręku chustkę białą, i ogania się nią od motylów, które jej około głowy latały; aż przyszedł do niej jakiś człowiek i wziął od niej białą chusteczkę, a ona raptem ujrzała się aż po szyję w błocie, a koło głowy brzęczały jej osy i czmiele i kąsały ją po twarzy. Kiedy zaś ona tak leży w błocie, zbliża się ku niej wielka procesya odpustowa, słyszy dzwony i spiewanie, widzi piękne chorągwie i siła pobożnego ludu, aż oto czem raz więcej zbliża się ku niej procesya, i już koło niej przechodzi cały natłok plwając jej w twarz, i obraca się potem od niej ze zgrozą, a ona nie śmie nawet podnieść oczu. Gdy zaś procesya odeszła i spiewy już ucichły, aż oto dąży ku niej gromada czarnych, strasznych ludzi z długiemi włosami i brodami jak strzechy sterczącemi, i już z daleka odgraża się w błocie leżącej grubemi pałkami. Marynka poczyna krzyczeć ze strachu, lecz to nic nie pomaga — jeden z nich wyskakuje naprzód, porywa ją silną ręką za włosy i wyciąga z błota — w tej chwili nadchodzą wszyscy, i poczynają bić ją okrutnie po głowie i po całem ciele, tylko jeden z nich z workiem na plecach stał na uboczu, i patrzał jak drudzy bili.

Marynka krzyczy w niebogłosy, błaga ich ze łzami o litość, lecz wszystko to nic nie pomaga, owszem jeszcze raźniej bić poczynają, i śmieją się przeraźliwie mówiąc:

— Tyś sama nad sobą nie miała litości!

Krew zlała jej ciało, a oni przestali na chwilę, teraz zbliża się ów stojący z workiem — otwiera worek i dobywa sól miałką z niego, więc jęli wszyscy posypywać ją solą, a ona z bolu gryzła ziemię pod sobą, potem zaś poczęli bić znowu.

Aż oto cudem zjawia się anioł Boży z zieloną gałązką w ręku i poczyna wołać na owych czarnych ludzi:

— Już dosyć, przestańcie!

I w tej chwili przestali bić i zniknęli bez śladu.

Marynka leżała we krwi własnej bez pamięci; anioł biały przystąpił do niej, i tak się odezwał:

— Grzesznico ocknij się!

Marynka spojrzała:

— Widzisz — mówił anioł dalej — to jest początek mąk

piekielnych, jakie ciebie na tamtym czekają świecie — ostateczny to czas dla ciebie, byś się poprawiła i pokutowała, bo potem będzie za późno. Popraw się grzesznico, ażeby po śmierci czarci nie porwali duszę twoją, tak jak młodość twoją już porwali.

To rzekłszy zniknął Boży anioł, a Marynka przebudziła się ze snu.

Słonko już było zeszło na niebie — po drzewach świeciły się kropelki rosy, a w koło było wszystko piękne i wesołe, tylko jedna Marynka płakała gorzko, wstawszy z żydowskiego śmieciska. Sen dzisiejszy wzięła ona sobie mocno do serca i poprzysięgła w myśli wstąpić na całkiem inną drogę, drogę poprawy i pokuty za grzechy.

Toć poszła zaraz do Dniestru i obmyła grzeszne i zbiedzone ciało, wyprała brudną koszulę, a potem poszła do kościoła i długo a długo modliła się tutaj, płacząc rzewnie przed ołtarzem św. Jana, a po modlitwie wyspowiadała się ze wszystkich grzechów i jakoś lżej zrobiło jej się na sercu.

IV.

Od tej chwili nikt by nie poznał dawną Marynkę w sędziwej kobiecie Halerewiczowej — a ludzie nie mogli się nadziwować tej przemianie — widząc zaś w niej szczerą poprawę, chętnie jej zapomnieli dawne grzechy. Halerewiczowa wyprosiła sobie jakie takie odzienie i uszyła sobie dwie żebrackie torby, przewiesiła je przez plecy, wzięła kostur do rąk i poszła jako żebraczka w świat szeroki pokutować za grzechy.

A miała ona teraz lat 45 z górą.

Idąc od chaty do chaty o żebranym chlebie dwa lata, chodziła ona po różnych okolicach, aż w końcu zaszła na Bukowinę w okolicy Seretu. Mil kilka od miasteczka Seretu jest wioska Gropany, składająca się z 20 osady. Cała wioska jak gdyby w wianku okolona pięknemi lasami, a do tego urodzajne pole i lud pobożny — toć rzadko gdzie znaleźć tak wszystko razem.

Muszę wam zaś to jeszcze powiedzieć, że lud na Bukowi-

nie jest po największej części *szyzmatycki* i ma księży z brodami, toć mało jest tam naszej wiary, a właśnie gropańscy ludzie są sami katolicy.

Otóż do Gropan zaszła Halerewiczowa (tak ją od teraz nazywać będę, gdyż tak ją zwali wszyscy ludzie) a przyszedłszy do jednego gospodarza, jęła go o wszystkiem rozpytywać.

Gospodarz ten zwał się Matejko, i był bardzo bogobojnym człowiekiem.

— Dobrzeby wszystko było — kończył Matejko — gdyby nam nie tak daleko było chodzić do kościoła.

— A nie możnaż temu w żaden sposób zaradzić? — odezwała się Halerewiczowa.

— Jakże tu radzić, gdyby pieniądze były — to i rada znalazłaby się, a jak tego niema, to i rady nie potrzeba — a Bóg świadkiem że my tyle nie mamy.

— Coś ja tu trochę uzbierała grosiwa, jak co trochę dołożycie, to będzie można zbudować kapliczkę dla chwały Bożej — i wyjęła woreczek spory z torby, i podała Matejkowi.

— Przeliczcie no gospodarzu ile tam jest. — Matejko zdumiał się z razu, zkąd żebraczka do tego przychodzi, a jeszcze bardziej dziwił się jej szlachetności. Kiedy zaś obliczył pieniądze, pokazało się, iż jest w woreczku trzydzieście reńskich.

— Ciężko, krajcar po krajcarku zbierałam ja mój dobry gospodarzu, a teraz niech będzie Bogu na chwałę; weźcież więc, dołóżcie co będzie brakować i zbudujcie kaplicę.

Gromada dołożyła trochę do tego wdowiego grosza, robotę rozebrali ludzie pomiędzy siebie, a w dwa miesiące stanęła już gotowa kaplica w Gropanach.

Od teraz ślubowała sobie Halerewiczowa opiekować się tą kaplicą aż do śmierci, i w co tylko mogła zaopatrywała ją i godzinami modliła się tutaj.

Dawniej jeszcze ślubowała ona odbywać co rok pielgrzymkę na odpusty do Daleszowa, Chryszczatyka i Zarwanicy, gdzie jest bardzo cudowny obraz Matki Boskiej — to też idąc tam i powracając zbierała po drodze, co tylko mogła i nigdy z gołemi nie wracała rękami, jeno zawsze prócz pieniędzy, znosiła światło, xiążki kościelne a nawet ornaty, co od xięży dla

Gropańskiej dostawała kaplicy. Znali ją też wszyscy, i każdy chętnie dawał jej jałmużnę, a Halerewiczowa po wszystkich chodziła i zbierała, składając szeląg do szeląga. Toć zbierając w ten sposób, kupiła piękny ornat za dziewięćdziesiąt reńskich, a w kilka lat poźniej trzy dzwony, które razem kosztowały dwieście reńskich, a przytem tak była kapliczka zaopatrzoną, że w nie jednym kościele tego nie było, co ona tutaj nanosiła zewsząd.

Do poźnej starości, bo do ośmdziesięciu kilku lat zbierała ona tak skrzętnie i rok rocznie chodziła na odpusty, a rok przed śmiercią złożyła na ręce starszego brata w Gropanach pięćset złr., ażeby za nie kościółek zbudować, gdyż kaplica rychłem groziła zawaleniem się.

Poczęli więc ludzie tamtejsi krzątać się koło budowy, a za pomocą Boską robota szła rączo, i w niedługim czasie skończono budowę. Tak więc stanął dom Boży zbudowany żebraczym groszem pokutnicy, a milszy on panu Bogu, jak nie jedna okazała świątynia przez bogacza zafundowana.

Tego roku na wiosnę odbyło się poświęcenie a po nabożeństwie dziękowała cała gromada pobożnej staruszce.

— Boska to w tem była wola — mówiła ona do ludzi — a grosz to dar dobrych ludzi, który ja ziarnko do ziarnka zbierałam tylko — nie jeden żebrak, nie jedna uboga służąca niosła mi swój wdowi grosz — zdaje mi się, że dobrze grosz ten użyłam. Niech więc będzie chwała Bogu najwyższemu!

Przed niedawnym czasem pisano mi z tamtych stron, że staruszka oddała już Bogu ducha swego, a zwłoki jej pochowano na cmentarzyku wedle starej kaplicy a na grobie stoi napis takowy:

Tu leży fundatorka gropańskiego kościoła Marya Halerewiczowa, uboga żebraczka, zmarła w r. 1863.

Opowiedziałem wam moi mili całą historję o Maryi Halerewiczowej, abyście ztąd mieli dobry przykład i naukę. Ja sam znałem tę bogobojną staruszkę bardzo dobrze i nieraz godzinami z nią rozmawiałem, a kiedym się rozpytywał o jej życiu, opowiadała mi tak akuratnie, jak ja wam tutaj spisałem; a nie jeden tylko znałem ją moiściewy, ale znali ją także wszyscy

ludzie, xięża i panowie, kędy idąc na odpusty wstępywała po drodze. Toć wszyscy szanowali ją wielce i chętnie obdarzali a nieboszczyk kanonik zarwanicki ks. *Mandaczewski* dawał jej co roku światła, xiążki a nawet przestarzałe ornaty dla gropańskiej kaplicy.

Tak to pokutowała Halerewiczowa za grzechy, a Pan Bóg pewno jej przebaczył — teraz zaś niech z Bogiem spoczywa!

Grzela z Waszkowiec.

RÓŻNOŚCI.

Gradobicia. Jakoś dzięki Bogu nie ma u nas tego roku wielkich bardzo gradów i rzadko gdzie. Piszą tylko, iż w gminie Miłkowie w obwodzie złoczowskim był przy końcu czerwca drugi raz grad, który wszystko do kapki poniszczył. No jużci to nieszczęście, ale ani porównania nie ma z tem, co się gdzie indziej zdarza. Ot nieszukając daleko, piszą z Węgier, iż tam okrótne nieszczęścia są od gradu Niedawno temu padałci tam w kilku okolicach grad taki wielki, jak jaja kurze, i poczynił szkody najokrótniejsze. Już tam prawie całkiem nie będzie żniwa tego roku, a wszyscy obawiają się głodu wielkiego. Niechże ich pan Bóg zachowa od tego nieszczęścia.

Pożary. Zaś co pożarów, to tych zawsze jest dosyć u nas a najbardziej w lecie. I tak piszą, iż w Krystynopolu w obwodzie żółkiewskim powstał 5 lipca ogień w domu wieśniaka Michała, i spalił mu chałupę z budynkami i narobił szkodę na 500 reńskich A jak się pokazało, podłożyla ten ogień bratowa poszkodowanego ze złości, która się już do zbrodni przyznała, i weźmie dobre ukaranie. Miły Boże! co też to za ochydy dzieją się między ludźmi.

Zaś 7 lipca wybuchł pożar w Zborowie w obwodzie złoczowskim, i spalił 3 domy żydowskie, a zkądby się wziął, niewiedzieć jeszcze.

Także w nocy z 3 na 4 lipca był ogień w Prądniku białym u gospodarza Macieja Węgla, i popalił mu wszyściutko, chałupę, budynki gospodarskie, także konia, sześcioro bydła i 10 bezrogów.

Jeszcze w czerwcu były takie pożary: 21 czerwca wybuchł ogień w Bendrowie, i spalił gospodarstwo jedno z budynkami. Ogień ten podłożył jakiś człek niedobry, który już siedzi w areszcie. Tegoż samego dnia w nocy był pożar w Szczurowie u gospodarza Józefa Drzazgi, który spalił kilka gospodarstw, i narobił szkody na dziesięć tysięcy i sto trzydzieści reńskich.

Redaktor: **B. Kalicki.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**